

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 12 lutego 1916 roku.

№ 7.

Juliusz Kaden.

SPOTKANIE.

2

Uspokoił się trochę dopiero na mrocznym gazonie przed domem. Wionęło tu z każdego kąta przyzwyczajenie...

Dwie jasne smugi światła okiennych—złote stuły domowego obrządku... Pies... Zaśliniona mordą przykolanie... Tyle na świecie wierności, — co w tym ogonie rozmachanym...

Baniecki zatrzymał się przy środkowej gwiazdzie klombu, obsianej samą niezapominajkami. Cała rosą pokryta, z drobnouchnych kwiateczków złożona gwiazda drżała mu u nóg, zachodząc wygasłym fioletem nieba. Małe listki niebieskie krwawiły, niczem paciorki granatu. Głaskał je szum wieczoru, a prześlizgnąwszy miękkim szeslesem przez trawnik, kołysał się w sadzie, niecąc długie westchnienia.

Ktoś młotkiem przybija coś na podwórzu.

Baniecki kazał co żywo dawać herbatę. Kiedy usiedli do stołu, powiedział z goryczą: — I żebyś wiedziała, że nic więcej nie potrzeba.

Zegar tykał na ścianie, w sieniach cicho dreptał pies, drzewa lekko szumiały w ogrodzie.

— Powiedz, gdy przyjadą — ciągnął Baniecki, powoli obejmując zimnem dłońmi gorącą szklankę.

— Gdy kto przyjedzie?

Nie odpowiedział, a żona nie śmiała go pytać drugi raz. Szeroko rozwartemą żenicami patrzył, jakby przez nią, — przez ściany izby, przez zmrok, — w dal.

Tętent stawał się coraz bliższym, — całkiem bliskim. Jeźdźcy, gadając głośno, wjeżdżali na gazon.

Baniecki, blady jak płótno, purpurowej uszamy słuchał, jak trawnik głucho tętni. Baniecka poczęła co żywo zbierać ze stołu i chować masło, śmietankę, ser.

— Zostaw!

Słuchał. Zgiełk broni. Teraz jadą wedle okien. Po niebiesko-sinych szybach przemijały czarne postacie, dzwoniące stałą. Kamienie trzeszczą, żołnierze klną...

Baniecki ani się ruszył, tylko czerwone, wiotkie powieki drzeć mu jeły na żenicach, a srebrne brwi, nagle do góry uniesione, twardą kłamrą spoczęły na czole.

Pukano już do drzwi. Baniecki się zerwał na równe nogi i otworzył od strony ganku.

Czekali tam w kilku, a tak się tego nie spodziewał w tej pysznej formie i w tym srogim kształcie, że mu się zdało, las chłopca zbrojnego przed nim stoi!

Cofnął się ceremonialnie, oni zaś weszli z najstarszym na czele. Wśród szurgania, dźwięku ostróg z trzaskiem szabli mówili swe nazwiska.

Baniecki poprosił do salonu, gdzie zaraz porozkładali się, jak u siebie, w wesołej okrzykami padając na poduszki i puffy.

Zadudniły twarde buty na dywanie, zadrżały szkiełka na chińskich cackach.

Najstarszy, rotmistrz, wyciągał z za pazuchy mapę i wodził po niej paznogciem, pokazując pozycje dwóm młodszym oficerom. Wszyscy trzej stali przy świecy obok stolika do papierosów, tak, że Baniecki widział tylko ich bary schylone, niby trzy tęgie sikiby, jedna przy drugiej.

Kędzierzawy poręcznik siadł za stołem z książkami i ustawicznie zaczepiając guziki rękawa o włóczkową serwetę, oglądał malutkie, stare album z historią Napoleona. Mikroskopijne, białe, czerwone i czarne pulki potykały się w pomarańczowych lunach miedziorytu, niby pstrokaty żuczki.

Oficer śmiał się do nich, wykrzykując, — a to ci były bitwy, widziałeś taką stypę!

Któryś znów ziewał przy oknie i tarł sobie twarz, mnąc nabrzękle od powietrza i deszczu policzki.

Baniecki zapalał lampy, zbierał ze stołu kalendarze rolnicze i patrzył, jak czerwone wstęgi wieńców córki, przyczepione do lustra, fruwały w przechodzie oficerów.

Upredziwszy żonę co do kolacyi, poszedł za tym wywłoką służącym na podwórze.

Tu kawalerzyści obrzędzali konie, drudzy wodę ciągnęli, chlastając pełnem wiadrem po cembrowaniu, inni znów grzebali się w sianie na pięterku stajni.

Pachniało tu koniem i trudem ludzkim.

Żołnierze wołali na się po imieniu, a Baniecki zapomniał nagle, poco tu przyszedł, i słuchał tych imion prostych, — tych samych...

Jakgdyby w mroku tej wiosennej nocy wieczność się jakaś powtarzała uporczywie...

— Widzę, że mamy zaszczyt — zaczął rozmowę któryś z oficerów z wchodzącym do salonu Banieckim. — być w domu ojca sławnej naszej artystki. — Przekładał z ręki do ręki fotografie i pocztówki.

Baniecki nie odpowiedział, zdziwiony tą beznamiętną łatwością, z jaką stasowały się podobizny w rękach oficera.

— I dwór taki staropolski.

— Bo się jeszcze nie rozleciał.

Widząc, że się rozmowa nie klei, przestał starego w nią wciągać. Słuchał, jak gadają między sobą, odpowiadał na zapytania o przemarszu nieprzyjaciela, ale nie takiego chciał gadania i co innego leżało mu na sercu.

— A skąd pan wiesz — zapytałby najstarszego, gdy siedli za stół do kolacji, lecz pytać nie mógł. Nie mógł przecie starych swych rąk położyć na ramionach rotmistrza, wszystką krwią wpatrzeć mu się w oczy i — gadaj staremu, młodziku... Jeszcze nim się zrodziły, już wiedły te pytania — a ilu was jest, a skąd — a skoro...

Czuł przecie stary Baniecki całą obrazę i niemoc tych pytań... Pamiętał jeszcze z młodości...

Pamiętał również później te straszne ciągi i wstyd, który żarli oni samą i pokolenie całe. Któż się odważy, kto śmie?!

Za najstarszym, jak mur, wstali wszyscy naraz od stołu. I znów laził między nimi w salonie, lustrował mundury, ukradkiem dotykał broni i patrzył z radością, jak pokój w koszarach przemieniają.

Postulaj japońskie parawany, pozgarniali na kupę obrazki i fotografie, wnieśli słomę, rozdzielili sprawiedliwie poduszki z kanapy.

Patrzac, jak się układają na spoczynek — w rozchełtanym mundurach, w butach, z bronią pod ręką — nie mógł się dziwacznej opędnąć myśli, że to wszystko piękna kolenda...

Ze tu posnęły oto młode pastuchy w przedświcie gwiazdy...

Ważyły się w Banieckim te ciężkie myśli, których nie miał powiedzieć komu całe życie. I jakaś łaskawość niewysłowna a żalosna z powodu, że tyle już razy próżnym był poryw młodości a kwiat jej płonym.

Wyszedł, by nie przeszkadzać w wydawaniu dyspozycji. Zatrzymał się w sieni przesytej mieczami księżycy. Na podwórzu przy stajniach warty chodziły w cieniu, a od ich stóp biegła ziemia poświatą zroszona, jak jedna nieogarnięta fala pereł. W sadybie cień drżał, szmery przeciągały wśród drzew wilgotne.

Baniecką oparł się o okno, czarony za siebie ciskając cień.

Otóż próżnym był poryw młodości a kwiat jej płonym. Przeto doświadczenie. Szukał go w myśli. Czy przyszło, gdy wedle stogów dyssał latem krzepkiem? Gdy mu czas wąsy siwizną prosiły a wiosna drzewa młodą zielenią? Czy gdy w jesieni na przyzbie pot znojny z czoła ocierał?..

Starą swoją krwią słuchał, jak uczuła tłum ożywa i umiera, jak liść w sadybie drży, a broń w obejściu przytomna dźwięczy cicho, niby lodu tając...

Doczekał pierwszego brzasku, obudził żonę: — pani Baniecka, dajno żołnierzom jeść, — a gdy się zewrwali do drogi, rotmistrza poprosił do siebie.

Skrzypiącymi schodami poszli na górkę.

Baniecki szedł pierwszy, rotmistrz za nim. Tędy chadzał stary Baniecki, przy końcu wakacji synowi morały prawić i srogie słowa na drogę życia dawać. Tu chował ważne gospodarskie papiery. Tu, na górce, w ziemie majstrował koło swych dubeltówek, ważył śrut i wykrcęcał patrony. Tu, oglądając stare myśliwskie buty, stojące przy piecu obok orzechowej kanapy, przypominał legawcowi dawne dobre czasy.

Baniecki stanął przy biurku, gościa poprosił siedzieć.

Rotmistrz z chrzęstem rzemieni usiadł na wglębionym, jak czołno, karle, szable sztorcem przy kolanie postawił i pochylając się uprzejmie naprzód, równocześnie baczył na żołnierzy. Wyprowadzali już konie na ścieżki wokół klombu. Chrupot wę-

dzideł mieszał się z klepaniem po dachach, przeciągłem — ty — no, — i miękkiem echem ziemi.

— Ja się was nie pytam, bo wiem — zaczął Baniecki, — Też byłem żołnierzem. — Machnął ręką, aż kości trzasły, i głowę schował w ramiona. — Owóż nikt tu nikogo nie błogosławi. Bo czyżeł tu są ręce pewne, że szczęście niosą?

Rozwinął zawiniątko na biurku.

Rotmistrz powstał. Na stole leżał płat amarantowego jedwabiu z białym orłem w pośrodku.

Owóż — ciągnął dalej szeptem Baniecki, patrząc w las — przechowywałem święcie tyle lat — nie obraż się pan, że z przypadku korzystam, bo tu się wszystko świętym dzieje przypadkiem. — Ręce mu zwisły bezradnie, jakby pod nadmiernym ciężarem — Otóż pokolenie pokoleniu — tę szmatkę krwawą. — I to jest naród. — Płachetkę karmazynową.

Rotmistrz zebrał w garść purpurowe truchło, że się litery i orzeł w czerwieni pogubiły, sztandar, niczem skrzep krwawy, na piersi schował, i rzucił się Banieckiemu w objęcia.

KONIEC.

Z notatek zesłańca 1862 roku.

4

Józefa Hertza.

III.

W Rosyi europejskiej.

Od Borysowa nad Berezyną wymijaliśmy się ciągle z dwiema innymi partjami, skazanemi do Orenburga i na Sybir. W pierwszej znajdują się wspomniany wyżej: Gervais, stud. uniw. peters., Buczeniewski litograf, Zawadzki — aplik. sądu apel., Jankowski — stelmach i Cybulski krawiec. W drugiej: urzędn. kol. Kołakowski, introligator Pietrzykowski, ucz. gimn. lubel. Hubicki, ucz. gimn. radom. Kowalski, wreszcie wyrobniicy: Kruszewski, Gładysz, Baczyński, Sadyziński i Grzybowski.

Dd. 14-go marca nocujemy w *Krasnem*, w więzieniu, razem z Br. Ducha. Kapitan etapowy pozwala wyjść na miasto. Sprawia ono wrażenie zupełnie już obcego, rosyjskiego miasta.

Dn. 16-go stajemy w *Korytni*, w zajezdzie. Gospodarz rosyjanin, Br. Ducha oddzielnie, na kwaterze etapowej; ale pozwolono nam odwiedzać się wzajemnie. Wymieniamy otrzymane pisma.

Dn. 17 marca przybyliśmy do *Smoleńska*, gdzie nas osadzono ra-

zem ze złoczyńcami, w izbie pełnej robactwa. Patrolowaliśmy noc całą. Nazajutrz udaliśmy się do kościoła, oddalonego o 4 wiorsty. Spotkaliśmy tu p. Piekarskiego, który nam i Br. D. udzielił zasiłku. Widzieliśmy się też z księdzem, zesłanym z Wilna na osiedlenie, jak również z nauczycielem Tomaszewskim. Dzięki staraniom rodaków miejscowych, oddzielono nas od przestępców kryminalnych, a nadto przyrzeczono dać podwody.

Dn. 19-go uprzejmy gospodarz zajazdu w *Pankowej* skradł Saladynowi szal.

Dn. 20-go w *Solowiewie* kapitan etapu sprzedaje nam pół cielaka, masło i t. p., w dodatku zaprosił do siebie i częstował wódką. Korzystając z jego dobrego humoru, prosiliśmy o pozostawienie mas dzień dłużej, chcąc zaczekać tu na Br. Ducha. Przybyli 22-go i przywieźli gazety z wiadomością o uwolnieniu wskutek... (?) polskich więźniów, Br. D. widzieli następną partję.

Nazajutrz ruszamy w dalszą drogę. Pogoda okropna, wicher. Tegoż dnia zatrzymujemy się w *Dorogobuzu*. Właściciele zajazdów lękają się

nas przyjąć. Z konieczności lokujemy nas w więzieniu. Odwiedza nas p. Michniewicz, zawiadomiony przez Piekarskiego; następnie zjawiają się: dr. Cytro, Świecicki — strapczy i Majdanowicz — sędzia. Doganiają nas Br. D. — Przyjęcie u pp. Michniewiczów bardzo serdeczne, wieczór spędzamy u aptekarza Kellera. Michn. daje nam 3 furmanki, zaprzężone w trójki.

Dn. 26-go mamy drogę ciężką: śnieg, zadymka. W *Semlewie* kacap nie chce do chaty wpuścić. Dowiedziawszy się jednak, że płacimy, zaprasza i „wasze błahorodye“ tytułuje (a kupiec 3 gildyi). Kwaterna brudna. Pilnuje nas żołnierz z kantoni-stów, wzięty w r. 49.

Dn. 27 marca jesteśmy w *Wiaźmie*. Mnożą się trudności z wynajdywaniem kwater. Powtarza się to następnie w Ciepłusze, w Gżątsku. Dn. 3 kwietnia — awantura z kacapem we wsi *Borodino*: przedstawił taki rachunek, że dostał w papę i wyleciał za drzwi. Wogóle łupia nas i okradają. Pisarze wyciągają łapówki za podwozy.

Od *Możajską* droga coraz bardziej utrudniająca. Zaczynają się wielkie błota, a dn. 9-go, pod Zwienigorodem wylew rz. Moskwy wstrzymuje nasz pochód. Z kilku belek budujemy tratwę. Znużeni i przemokli, wypoczywamy 2 godziny w jakiejś zapadłej wiosce. W samym Zwienigorodzie odwiedza nas żołnierz Rosenberg, rodem z Warszawy, gdzie ukończył Szkołę Rabinów. Trzymają go w wojsku już 19 lat. Pokazuje nam miasto. Okolice cudownie piękna: lasy i góry.

Dn. 11 kwietnia — spór z kapitanem o podwozy. Dostajemy wkońcu 3 stałe i 3 zmienne. Drogą ciągle męcząca. Nocujemy we wsi Ubory, na 8 wiorst przed właściwą stacją. Nazajutrz — dzień piękny. Wyruszamy o 10 rano. Gdy wchodziliśmy na pnom, by się przeprawić przez rzekę, spostrzegliśmy jadących ku nam: Maurycygo Unszlichta *) i stud. Steca. Nocowali oni z nami we wsi Sumierki, a następnie wyprzedził nas poczta. My zaś doczekaliśmy się drugiej partii i razem z nią dn. 14-go wieczorem stanęliśmy na przedmieściu Moskwy. Dn. 15-go umieszczono nas w koszarach, znajdujących się na drugim krańcu miasta. Mimo starań tutejszej kolonii, zwłaszcza pp. Adama i Benedykta Giwartowskich, oraz młodzieży uniwersyteckiej, nie pozwolono nam dłużej, jak 2 dni, bawić w Moskwie. Nadszedł bowiem wyraźny rozkaz z Petersburga, by więźniów politycznych nie-

*) Maurycy Unszlicht, brat zesłanego Maksymiliana, towarzyszył partii od samej Warszawy i wyjednywał jej możliwe ulgi. Zabiegom jego wiele zawdzięczały i inne partje wygnańców. Był to ojciec niedawno zmarłej zaszczytnie znanej działaczki, Julii Unszlicht-Bernstei-nowej.

zwłocznie wyprawiano dalej. To też drugą partję odesłano nazajutrz. Trzecią umieszczono w więzieniu.

Otrzymaliśmy w Moskwie sporo listów. Między niemi wiadomość, że Frołowicz oczekuje los cięższy, niż resztę. Z Mińska już go wystawno, ale dokąd — nie wiemy.

Na kwaterze mieliśmy liczne odwiedziny. Przybył prof. Marks, zjawili się też junkrowie-polacy: Zarzycki i Boab. Dn. 17-go o godz. 11¹/₂ rano pomaszzerowaliśmy na dworzec — pełen oczekującej nas młodzieży. Toasty. Kompania francuska kolei żel. ofiarowuje nam oddzielny wagon I klasy do *Włodzimierza*. Zajechaliśmy tu o 12 wiecz. W drodze z wielką sympatją odnosili się do nas konduktorowie-polacy Zamłyński i Górski (z Kowna), oraz kontroler, francuz Plont.

We *Włodzimierzu* oczekuje nas na dworcu Zelwerowicz. Mielśmy rozkwaterować się w hotelu, lecz nie pozwolono i kazano przenieść się do koszar. Czyniliśmy przez Maurycygo starania, by dano nam we *Włodzimierzu* nieco wytchnąć. Obiecano. W sobotę jednak dowiedzieliśmy się, że przyrzeczenia nie spełnią i że mamy nazajutrz wyruszyć — wszystkie 3 partje, t. j. 23 ludzi i to t. zw. „etapem konnym“. Dotąd pędzono nas „etapem pieszym“, który był z wielu względów dogodniejszy. Albowiem naczelnikiem konwoju bywał najczęściej podoficer, z którym można było robić, co się chciało. Odtąd konwój prowadzić ma kapitan — z nim trudniej sobie radzić.

I rzeczywiście, w niedzielę, dn. 20 kwietnia, zarządzono wymarsz. W drodze jednak zawiadomiono nas, że dalszy pochód jest niemożliwy, bo trakt zalany. Wróciliśmy zatem do koszar. Tymczasem przybyła tu jeszcze jedna partja skazańców, złożona z 5 osób. Sa to, mianowicie: Smulski — jubiler z Radomia, Jarzyński — bednarz, Pasternakiewicz — ślusarz, Sztymelski — b. uczeń (ci

trzej z Płocka), a wreszcie Zawisza — farmaceuta. Tego ostatniego widziano pierwszy raz w życiu, a jednak Unszlicht i Goldman skazani są głównie za utrzymywanie z nim stosunków, sam zaś Zawisza cierpi za rżekomie stosunki ze mną.

Jest więc nas teraz ogółem 28-u, pomieszczonych w jednej stancyi. Zaduch okropny. Wychodzić zabroniono. Dn. 22-go zjawił się kapitan z zapytaniem, że wśród nas jest podobno 3-ch szlachty. Na to Zawadzki odpowiada: „Tu u nas wszystkie szlachta“. Kapitan zwrócił się do żołnierza. Ten zaś wyrecytował: „28 czełowiek, wasze błahorodje“. Oficer wyszedł rozgniewany.

Zabroniono podoficerowi wdawać się w rozmowy z nami.

Dn. 26-go przysyłają 2 podwozy — dla szlachty *). Pochmurno, niekiedy wiatr północny. Jakis pop chce nam ofiarować rubla i prosi o resztę z 3-ch. Przeprowa przez *Kłaźmę*. Gdzieniedzie śniegi; niwy zielenieją. Zatrzymujemy się w Bogolubowie. Jest to piękne, dobrze zabudowane sioło, posiadające sporo 1-piętrowych domów i aż 4 cerkwie.

Idziemy dalej. Nad rz. Terą żegnamy Maurycygo Unszlichta, który już wraca do kraju. Siadamy na prom, odjeżdżamy. Maurycy stoi na brzegu. Wylądowaliśmy, on jeszcze stał. Idąc, oglądamy się. Stał i tak stojącego, jakby wrosłego w ziemię, straciliśmy z oczu. Ma przy sobie listy nasze, moc listów.

Prowadzi nas konwój, złożony z 7 ludzi. Wśród żołnierzy jest jeden polak, starowina Klementowicz, rodem z Wilna. On też dał list Maurycemu. I też długo się za nim oglądał.

Droga zepsuta. Zimno, wiatr.

Dalszy ciąg nastąpi.



*) Z 28-u pozostało tylko 14-u. Resztę wyprawiono dzień wcześniej.



EDWARD KOZIKOWSKI.

*W czarodziejskim mrocznym borze
na srebrzysty kwiat konwalii
smutne serce swe położę,
niby krwawą łódź na fali...*

*Wiatr mnie lekką ukolysze,
dziwną wonią kwiat przytuli...
i popłynę w leśną ciszę,
kiedy słyhać śpiew zazuli...*

*A gdy zwiędną czarów róże,
gdy zszarzeje marzeń złoto,
w krwi płomiennej kwiat zanurzę
i zatruję go tęsknotą...*

Dzieje jednego pocisku.

26

Leon został w kawiarni i zagłębił się w gazetach. Czytał pilnie z godzinę, a potem wszedł na miasto. Wciąż potracał i przepraszał ludzi, pograżony w myślach. Przechodząc koło wielkiej wystawy sklepu kwiatarskiego, przystanął i z rozkoszą patrzył na pęk kwiatów.

Coś pięknego, wzruszającego jak uśmiech dziecka spojrzało nań z pomiędzy gałązek i bukietów. Bił od tych kwiatów zmienny, niespokojny urok smutku i radości. Przypomniały się Leonowi rzeczy dawne.

— I ona była jak kwiat...

Wstąpił do sklepu i wybrał kilka puszystych, bogatych gałązek mimozy.

.

Kama leżała na łóżku i nie odrywała oczu od zakratowanego okna.

Żelazne sztaby dzieliły widzialny świat na prawidłowe kwadraty. Piękne były nagie, czarne konary drzewa, powykęcane fantastycznie i pokrajane jak na witrażu, na tle bladobłękitnego zimowego nieba. Od wczesnego ranka wpatrywała się w ten obraz nienasyconą duszą, tam bowiem narysowała się nareszcie jedyna i ostatnia jej prawda, na którą napróżno czekała przez całe życie. Zapomniane zostały wszystkie męki i trudy krwawego myślenia o rzeczach niepojętych. Znikły majaki, poczwary, złudy. Porozkręcały się zaciśnięte węzły zagadek, jasne i zrozumiałe stało się wszystko — praca skończona... oto dokonane niezmiernie zadanie, jakiego nie podjął jeszcze żaden żywy człowiek.

— Teraz jest szczęście! Teraz jest rozkosz! Uwielbiające, rozkochane oczy modliły się do cudu. Tam był cały jej świat. Tam ona już na zawsze pozostanie.

Nie bała się już niczego. Ani nocy i snów, ani dnia, pełnego morderczych zjaw. Nie będzie już straszliwych obudzeń — kiedy przez sekundę czuła się przeniesioną w innego, strasznie znajomego człowieka i skazaną na myślenie o tem. Okropne było to codzienne wydzieranie się ze siebie samej — było nie do przeżycia okrutne — pewne, jasne jak błyskawica, wspomnienie...

Nie będzie tego już nigdy. O, jakże dobrze!...

Zaciąga się wszystko mgłą, a ona pływa, płynie, unosi się lekko, opada; nigdy już nie dotknie żadnych obmierzłości, które umarły, zapadły się w nicość razem ze wszystkimi ludźmi, z całym światem. Rozkosznie być samej — rozkosznie, kiedy nie grozi! Do siebie samej mówić, do siebie samej się uśmie-

chać — sobie samej nucić tę pieśń wesela i szczęśliwości! Co za rozkosz... Jest jak ptak — rozumie mowę, życie i duszę ptaków niebieskich. Polata jak one na skrzydłach. Kolyse się wysmukła trzcina wodna i patrzy na swoje odbicie w wodzie. Szepcze — szepcze... To ona. Nie czuje siebie, jak rozdmiewający się obłok, który oto już zanika: rozstają się ze sobą odmęty składających je dusz, rozbiegają się po wszej ziemi dusze-siostry w radości, w pięknie, w chwale. Ona jest wszędzie — wszędzie. Nie ma swojego miejsca, nie ma żadnego „tu“, ani „tam“, ani „gdzieś“.

Srebrzyście rozlega się jej radosny śmiech po białym, pustym pokoju. Długo brzmi pieśń wesela i chwały. Wyczerpana ze szczęścia usypia.

Tam we śnie staje wśród niestychanych dźwięw swojego świata, gdzie jest jej dobrze, błogo! Tam chwieją się na wietrze olbrzymie liście, kołyszają się cudne, potworne kwiaty i obłoki wypisują na modrem niebie znaki, które odczytuje o rozumie, jak litery ludzkiego pisma. Układają się wszędzie napisy, pełne nadludzkiej mądrości. Jej hasła i słowa rozbrzmiewają w szepcie liści, w plusku fali, którą w godzinę przyplwy wysła aż do jej stóp dalekie morze. Otoczy ją tłum duchów dobrych i nareszcie swoich.

Budzi się z wolna. Opadają jej powieki. Na chwilę powróci sen. I znowu zaczyna się życie tajemne. Aż roztworzą się oczy na to, co ma być inny — jakoby prawdziwy i długo spoglądają z niewiarą, z bolesnym zdziwieniem.

Czy to sen? Czy to prawda? Czy to prawdziwy sen? A czy bywają kiedy sny? A czy istnieje świat? Czy jest cośkolwiek? Czy jest ona?

Jest jakiś powolny ruch — opadanie z wysokości czegoś białego, białego, białego...

To płaty śniegu spływają z nieba i uścielają się na nagich konarach, na cienkich gałązkach, wszędzie — wszędzie. Przedostają się przez szyby i zapełniają biały pokój. Pełno ich — wirują, chwieją się w powietrzu, układają się na podłodze. Białe, białe...

Nagle budzi ją straszliwy, rozsadzający głowę huk.

Niepojęta siła podrzuciła ją w górę. Kama zrywa się, wypada z łóżka, biegnie gdzieś z obłąkanym wrzaskiem. Runęła na podłogę, wysłaną grubym, szorstkim dywanem. Za sekundę urwie się wszystko, zniknie wszystko. Już wie, że jest

rozzerwana na strzępy. Resztką życia jeszcze wie, że daleko od niej leżą jej ręce, nogi, że krwawi gdzieś daleko odrzucone, jeszcze bijące serce.

— Gdzież moja głowa? gdzie ja jestem? — gdzie jestem „ja“? Mnie już niema — to śmierć. To taka jest śmierć? Ciemno.

Znowu leży na łóżku. Długo wpatruje się w człowieka, który przy niej siedzi. Człowiek porusza ustami i uśmiecha się do niej. Powinna to wiedzieć. Ach, powinna! Powinna wiedzieć, co on mówi, powinna słyszeć. Powtarza sobie z uporem dziecka: ja chcę słyszeć, ja chcę słyszeć... Radośnie się roześmiała: ja słyszę, ja wszystko słyszę! A ten człowiek, to doktor! Ludzie nie tylko są, ale każdy się jakoś osobno nazywa: i doktor się też nazywa. Okno? ściana? dywan? śnieg? Ach tak, wiem — to jest doktor i dlatego nazywa się „doktor“.

Uspokojona powtarza ciągle wkółko cichym szepceniem: doktor, doktor, doktor... Już teraz wie i nie zapomni. Doktor odchodzi, a Kama patrzy znowu w swoje ukochane okno.

Uniosła się ze zdumienia na posłaniu. Białe na świecie, tak białe! Cóż to się takiego stało? Zapagnęła, żeby było inaczej, żeby było tak, jak właśnie przed chwilą, kiedy wszystko za oknem tonęło w zieleności, kiedy do okna pochylały się i zaglądały do niej wielkie, soczyste, pachnące liście i ciężkie, bladobłękitne kwiaty. Zafęskniła do czegoś niewiadomego: to chyba były jakieś miłe głosy — tylko czyje? To może był jakiś powiew, jakieś ciepło...

— Nie — to było coś innego: żywe, śliczne, pachnące. To żyło, można było z tem rozmawiać całymi godzinami. Tu na stoliczku koło łóżka czuwało nad nią... Odchodziło i przychodziło znowu, coraz inne, coraz piękniejsze. Niema, dawno już tego nie bywało! Patrzy Kama proszącymi oczami na znajome miejsce, na biały, pusty stoliczek.

— Przyjdź, stań tu przy mnie, ja tak proszę, tak proszę...

Lzy w oczach. Krzywdzą ją. Czemuż ją krzywdzą? Kama odwraca się do ściany i płacze. Ciężka jej krzywdą i nieutulony jest jej żal.

Potoki łez — cichy jest jej płacz, jak u wystraszonego dziecka, ukaranego niesprawiedliwie, zostawionego w samotności, w strasznym, obcym, pustym pokoju.

We drzwiach staje stary doktor i coś długo mówi do niej, głosem wesołym, uśmiechając się pocziwie.

...A za nim, a za nim...

Za jego plecami ukazuje się straszliwe widmo. Trzęsie nią zimny dreszcz, jest obezwładniona. Nie ma sił zawołać o ratunek, nie ma sił przyknać oczu, żeby nie widzieć...

Dalszy ciąg nastąpi.

Mądra kawa...

Sklepik Foki, położony w głuchym kątku ruchliwej dzielnicy, znany był zawsze, jako marny, lichy prosperujący interes. Z każdego zakamarka wylało tam typowe „polskie gospodarstwo“, to też mało kto tam co kupował, bo i po prawdzie niewieleby tam co był i znalazł... Ot, Fokowa miała niejakie wyobrażenie o kuchni (kiedyś przecież jadali niezgorzej!), dawała więc obiady dwóm posłańcom z rogu oraz trzem dryndziarzom z najbliższej stacji dorozkarskiej, i z tego się od biedy utrzymywała cała fokowa rodzina. Gdy przyszła wojna, interesy Foków poprawiły się nawet, a to z tej przyczyny, że gospodarz nie turbował o komorne; w całym domu nikt go nie płacił... Aliści, „wyprowadzając się“ z Warszawy, rosyjanie zabrali ze sobą na pamiątkę obydwóch posłańców z rogu i wszystkie konie, należące do pozostałych stołowników rodziny Foków — ostatnia więc deska ratunku egzystencji fokowych popłynęła wraz z Mesalką za Niemen... Gdy wchodzili Niemcy, Fokowa była w stadium ostatniej rozpaczki. Ale w parę godzin potem zauważyła kręcących się po ulicy żołnierzy i wraz przypomniała sobie, że kiedyś przecież umiała parę słów po niemiecku. Foka wiedział nawet więcej: że po niemiecku można pisać polskimi literami. W ten sposób już pod wieczór, z pomocą najstarszej fokowej latorośli, powstał na oknie napis: *Weise kafe*. Miało to, oczywiście, oznaczać „biała kawa“: ani przypuszczali Fokowie, że brak jednej litery czynił z białej — kawę mądrą...

Niebawem dane im się było przekonać, jak dalece ta mądrość była zaprawdę mądrą... Żołnierze raz wraz odwieźć zaczęli sklepik Foków i ze śmiechem żądali „mądrzej kawy“. Pewnego wieczora łamaną polszczyzną któryś z nich zapytał:

— Gra żadna muzyka tu?

Nazajutrz „jakaś“ muzyka już grała...

Rzecz prosta, z chwilą uderzenia pierwszego taktu ściany „lokalu“ stały się za ciasne. I na to znalazł się sposób. W tym samym domu, okno w okno, był wolny lokal po zwiniętych co dopiero większym sklepie. Gospodarz, lubo dotychczas strzegł zazdrośnie cisy w zapadłym kącie ruchliwej dzielnicy, teraz wobec ciężkich czasów (komornego wciąż nikt nie płacił) — ustąpił. Ba, nawet sam dopomógł do uporządkowania pustego lokalu... W niespełna tydzień, mądra kawa zniknęła z okna, natomiast nad drzwiami zajaśniał barwny szyld ze zgołą mniej mądrym napisem: *Kaffe*. Z tą chwilą zapadły kąt dzielnicy przestał być zapadłym: w godzinach wieczornych wręcz jarzy się tam od światła i... błędów gramatycznych... *Caffé, e Caffé, Caffee, Kaffé, Kafé* — w Polsce, jak kto chce... A wszędzie koncert: przez z, przez c (na początek, jak we środoku), przez jedno t, przez dwa (nawet!) — jak zwał, tak zwał, dość, że... gra!... Od 4 popołudniu do wpół do pierwszej w nocy! Gdzie była mleczarnia, gdzie kramik z wodą sodową, owocarnia — teraz gra muzyka! Nigdy stolica nie była tak muzykalną...

Nieszczęsny gospodarz zatyka szczerlinie uszy i marzy o minionych dniach zacisza... Przed chwilą znów był ktoś u niego i wynajął aż dwa opróżnione mieszkania na parterze (od podwó-

rza!)... Coraz lepiej!... Dawniej nie byłby nawet gadał z takim kimś, ale dziś, gdy nikt nie płaci komornego — — —

Właściciel *Kaffe* również marzy w tej chwili w swym hałaśliwym lokalu, ale inaczej — — — Foka sądzi, że należy iść z życiem. Sądzi nawet więcej: że można i należy coś zrobić dla własnej publiczności. A więc: wynajmając w świetnym punkcie świetny lokal i urządzić *Kaffe*, już nietylko z muzyką i pięknymi, czystymi ścianami, ale i z czystą, piękną obsługą!... A gdy to się powiedzie (a powieść się musi!), tedy wziąć lokal jeszcze większy... może samą Filharmonię?...

i stworzyć olbrzymie, dobę całą trwające *Varieté*, w połączeniu z restauracją, kinotopem, salą balową, nawet mirażem literackim!... Ludzie znający się na rzeczy są zdania, że moment właściwy w społeczeństwie już dojrzał, co więcej, że jest to moment dla takiego przedsięwzięcia jedyny — — —

Tak samo sądzi Foka, do niedawna tylko skromny właściciel „mądrzej kawy“... Tymczasem pan gospodarz, pokiwując raz po raz głową, wertuje pilnie starą, zapyloną książeczkę o dziejach lat 1795 — 1808.

B. Gorczyński.

E. L. Voynich.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

B A K.

7

POWIEŚĆ.

Drzwi otwarły się, przepuszczając skąpą smugę światła latarni, i główny dozorca wszedł, niosąc kawałek chleba i kubek wody. Artur postąpił ku niemu; był pewien, że człowiek ten przychodzi uwolnić go. Ale zanim zdążył przemówić, dozorca włożył mu w ręce chleb i kubek i wyszedł, zaryglowując znów drzwi za sobą.

Artur tupnął nogą. Po raz pierwszy w życiu porwał go wściekły gniew. Ale godziny mijały i świadomość czasu i miejsca opuszczała go coraz bardziej. Ciemności wydawały mu się czemś bez początku i końca, a życie samo, jakgdyby stanęło w biegu. Wieczorem trzeciego dnia, gdy drzwi otwarły się i dozorca ukazał się w progu z żołnierzem, Artur podniósł głowę, osłaniając oczy przed światłem i nie pojmując zgoła, co się z nim dzieje i od jak dawna znajduje się w tym grobie.

— Proszę za mną — przemówił chłodny głos dozorca. Artur wstał i postąpił naprzód machinalnie, zataczając się, jak pijany.

Nie przyjął jednak pomocy dozorca, który chciał go poprowadzić po stromych, wązkich schodkach wiodących na dziedziniec, ale gdy stanął na najwyższym stopniu zakreśliło mu się raptem w głowie i byłby upadł w tył, gdyby dozorca nie chwycił go w porę za ramie.

* * *

— To nic! już przeszło — wymówił jakiś głos — przeważnie im się słabo robi, gdy wyjdą na powietrze.

Artur uczył, że mu chlustają wodą w twarz. Rozpacziwym wysiłkiem zaczerpnął powietrza w piersi; ciemność spadła mu z oczu, jak łuska, i odzyskał przytomność. Jakies drzwi otworzyły się przed nim i znalazł się znów w jasno oświetlonym pokoju badań, patrząc osłupiałym wzrokiem na stół zarzuconych papierami i na oficerów siedzących na zwykłych miejscach.

— Ach! to pan Burton! — przemówił pułkownik — spodziewam się, że teraz dojdziemy do porozumienia. Jakże się panu podobało w ciemnicy? Mniej tam wspaniale, niż w salonie pańskiego brata? Co?

Artur podniósł oczy na uśmiechnięte oblicze pułkownika, i nagle chwyciła go dzika żądza skoczyć do gardła temu siwowłosemu dręczycielowi i rozedrzeć mu je zębami. Przewodownie coś z tych uczuć wypiętnowało się na jego twarzy, bo pułkownik dodał spieszenie, zgoła innym tonem:

— Usiądź pan, panie Burton, i napij się wody. Jesteś podniecony.

Artur odepchnął podawaną mu szklanekę wody i opierając łokcie na stole, objął czoło rękoma i usiłował zebrać rozproszone myśli. Pułkownik przyglądał mu się uważnie, doświadczone okiem obserwując jego drżące ręce i usta, włosy ociekające wodą i mętny wzrok, który aż nadto wymownie świadczył o fizycznym zgnębieniu i rozstrojonych nerwach.

— A teraz, panie Burton — rzekł po chwili — rozpoczniemy od punktu, na którym stanęliśmy ostatnio, a ponieważ przerwa ta nastąpiła w sposób dosyć przykry, oświadczam, że co do mnie pragnę szczerze być pobłażliwym względem pana. Jeżeli zachowasz się pan rozsądnie i przyzwycięż, upewniam, iż nie będziemy stosować do pana zbędnej surowości.

— Cóż mam czynić? — zapytał Artur ponuro.

— Nic więcej, tylko powiedzieć nam szczerze i otwarcie, co wiesz o tem stowarzyszeniu i jego członkach. A przedewszystkiem od jak dawna znasz pan Bolłę?

— Nigdy w życiu go nie widziałem i nie o nim nie wiem.

— Doprawdy? Bardzo dobrze. Powróćmy do tego przedmiotu niebawem. O ile mi wiadomo, znasz pan młodzieńca nazwiskiem Carlo Bini?

— Nigdy w życiu o nim nie slyszalem.

— To nadzwyczajne. A Francisco Neri?

— Nie znam tego nazwiska.

— A jednak tu jest list pisany ręką pana i adresowany do niego. Spójrz pan.

Artur spojrział od niechcenia na list i odłożył go na bok.

— Poznajesz pan ten list?

— Nie.

— Nie zaprzeczasz pan, że to jest pańskie pismo?

— Nie zaprzeczam niczemu. Nie pamiętam, żebym go pisał.

— A ten?

Podano mu drugi list. Artur pisał go ubiegłej jesieni do jednego z kolegów.

— Nie.

— I nie pamiętasz pan osoby, do której go pisałeś?

— Nie pamiętam.

— Masz pan szczególnie krótką pamięć.

— Tak; zawsze na ten brak cierpiałem.

— Doprawdy? A tymczasem jeden z profesorów uniwersyteckich mówił mi, że uchodzisz pan za bardzo zdolnego studenta.

— Pan zapewne taksujesz zdolności policyjno-spiegowska miarą. Profesorowie uniwersytetu używają słów w innym znaczeniu.

W głosie Artura przebijało się coraz większe rozdrażnienie. Był fizycznie wyczerpany głodem, brakiem snu i powietrza; wszystkie kości go bolały i każdy nerw drgał w nim osobno, jak napięta do ostatecznych granic struna.

— Panie Burton — rzekł pułkownik, opierając się o plecy fotelu i mówiąc z wielką powagą — pan zapominasz się znowu, a ja raz jeszcze ostrzegam pana, że takie postępowanie nie wyjdzie ci na dobre. Masz już chyba dosyć ciemnicy, jak na teraz. Mówię panu wręcz i zapowiadam, że jeżeli będziesz trwał w uporze, zmusisz mnie do użycia najsurowszych środków. Pamiętaj, iż mamy dowody, niezbité dowody, iż kilku z tych młodych ludzi przemyciło zakazaną literaturę do tego portu i że pan byłś z nimi w stosunkach. A zatem, czy decydujesz się pan powiedzieć mi bez ogródek, co wiesz o całej tej sprawie?

Artur pochylił nisko głowę. Jakaś dziwna, ślepa, zwierzęca niemal wściekłość poczynała podnosić się w nim niby żywa istota. Możliwość utraty panowania nad sobą przerażała go bardziej, niż wszelkie groźby. Po raz pierwszy zaczął poznawać, jakie ukryte moce mogą kryć się pod powłoką chrześcijańskiej pobożności i dobrego wychowania, i zląkł się samego siebie.

— Czekam na pańską odpowiedź — rzekł pułkownik.

— Nie mam żadnej odpowiedzi do dania.

— Więc odmawiasz pan stano-

wczo udzielić nam żądanych wyjaśnień?

— Nic nie powiem.

— W takim razie muszę kazać odprowadzić pana znow do ciemnicy i trzymać tam, dopóki się nie rozmyślisz. A jeżeli i to nie pomoże, każę pana zakuć w kajdany.

Artur spojrział na pułkownika, drżąc od stóp do głów.

— Uczynisz pan, co zechcesz — rzekł z wolna — ale czy angielski ambasador puści panu płazem tego rodzaju znęcanie się nad obywatelem Wielkiej Brytanii, któremu nie dowiedziono żadnej zbrodni, to inna rzecz.

W rezultacie odprowadzono Artura do jego dawnej celi, gdzie rzucił się na łóżko i przespał kamiennym snem do rana. Nie zakuto go w kajdany i nie wtrącono do ciemnicy, której się tak lękał, ale nienawiść pomiędzy nim a pułkownikiem potęgowała się po każdym badaniu. Naprawdę Artur modlił się o łaskę przezwyciężenia złych namiętności lub rozmyślał po nocach o słodyczy i cierpliwości Chrystusa. Skoro tylko znalazł się w jasno oświetlonym pokoju, na środku którego stał długi stół zarzucony papierami, i skoro ujrzał wypomadowane wasy pułkownika, opanowywał go duch zgola nie chrześcijański, podszeptując mu gorzkie słowa i pogardliwe odpowiedzi. Doszło do tego, że po miesiącu obaj z pułkownikiem wpadali w pasyę na sam swój widok.

Ten wojowniczy nastrój, w jakim Artur żył ciągle, zaczął oddziaływać zabójczo na jego nerwy. Wiedząc, jak go ściśle pilnują i pomny na to, co sobie pocichu szepitano, że więźniom dają skrycie belladonę, by spisywać ich majaczenia pod wpływem narkotyku, lękał się wziąć coś do ust lub usnąć, a jeżeli mysz przebiegła koło niego w nocy, zrywał się obłąany zimnym potem i drżący na całym ciełe w przeświadczeniu, że ktoś znajduje się w jego pokoju, by podsłuchiwać, czy będzie mówił przez sen.

Widocznem było, że żandarmi chcieli wyciągnąć z niego zdradliwie jakieś zeznania, mogące skompromitować Bollę, i Artur tak lękał się wpaść przez nieostrożność w zasadzkę, że sama ta obawa mogła stać mu się zgubną. Dniem i nocą nazwisko Bolli dźwięczało mu w uszach, mącąc mu jego pobożne rozmyślenia i płacząc się zamiast imienia Maryi, gdy odmawiał różaniec.

Ale najgorszą rzeczą było, że i religia, jak cały zewnętrzny świat, oddalała się od niego z każdym dniem bardziej. Naprawdę czepiał się jej z gorączkowym uporem modląc się całemi godzinami; myśli lego coraz częściej zwracały się ku Bolli i tylko usta machinalnie powtarzały słowa modlitwy.

Jedyną pociechą był mu główny dozorca więzienia. Był to łysy, pul-

chny starszek, który z początku usiłował gorliwie nadawać swej okrągłej, czerstwej twarzy wyraz urzędowej surowości. Ale wrodzona dobroć zwyciężyła i wkrótce poczciewicz ten zaczął znosić więźniom wiadomości i zlecenia z celi do celi.

Pewnego popołudnia w połowie maja dozorca wszedł do celi Artura z tak ponurą i zagniewaną twarzą, że chłopiec popatrzył na niego ze zdumieniem:

— Na Boga, Enrico! — zawołał — co ci się stało.

— Nic! — odpowiedział Enrico opryskliwie i zbliżywszy się do tapczana, zaczął składać derkę, która była własnością Artura.

— Co ty robisz? Czemu składasz moje rzeczy? Czy przenoszą mnie do innej celi?

— Nie; masz pan być wypuszczony.

— Wypuszczony? Jakto? Dziś?

— Na dobre, Enrico?

W radosnem podnieceniu Artur chwycił dozorcę za rękę, ale ten wyrwał mu się szorstko.

— Enrico! Co ci jest? Czemu nie odpowiadasz? Czy wszyscy mamy być wypuszczeni?

Pogardliwe mruknięcie było jedyną odpowiedzią.

— Posłuchaj, Enrico — rzekł Artur, śmiejąc się i ujmując znowu dozorcę za rękę. — Na nic się nie zda dąsać na mnie, bo ja się nie obrażę. Chcę wiedzieć o tamtych?

— O jakich tamtych? — mruknął Enrico, kładąc magłę koszulę Artura, którą zaczął zwijać. — Chyba nie o Bolli?

— O Bolli i o innych, oczywiście, Enrico, co się z tobą stało?

— No, jego tam prędko nie wypuszczą, biedaka, skoro go towarzyszył zdradził. Tfu!

Enrico splunął i zabrał się znowu do składania koszuli.

— Zdradził go? Towarzysz? Och to straszne! — Oczy Artura rozszerzyły się ze zgrozy. Enrico szybko zwrócił się ku niemu.

— Jakto? Więc to nie pan go zdradziłeś?

— Ja? Człowieku! czyś ty oszalał? Ja?

— Ha! Tak mu to wczoraj na badaniu powiedzieli. Bardzo się cieszę, że to nie pan, bo miałem cię zawsze za porządnego młodzieńca. Chodź pan, tędy — Enrico wyszedł na korytarz, a Artur podążył za nim. Zwolna zaczynało mu się rozjaśniać w głowie.

— Więc powiedzieli Bolli, że go zdradziłem? Tak powiedzieli? Człowieku! A toż oni wmawiali we mnie, że on mnie zdradził. Ale chyba Bolla nie ma tak źle w głowie, aby wierzyć podobnym bredniom?

— Więc to rzeczywiście nieprawda? — Enrico przystanął w korytarzu i popatrzył bystro na Artura, który tylko wzruszył ramionami.

— Oczywiście, że to kłamstwo!

— No, to cieszę się bardzo, mój chłopcze, i powiem mu to. Bo widzisz, onj mu powiedzieli, żeś go zdradził przez zazdrość, że to niby obaj durzyliście się w jednej panience.

— To kłamstwo! — powtórzył Artur szepem. Ale nagle zdjął go dziwny lęk. „W tej samej panience... przez zazdrość“. Skąd oni mogli to wiedzieć? Skąd oni mogli wiedzieć?

— Poczekaj chwilę, mój chłopcze — rzekł Enrico, zatrzymując się znów w korytarzu, wiodącym do pokoju badań i mówiąc cicho: — Wierzę ci, ale powiedz mi jedno. Wiem, że jesteś katolikiem; czy powiedziałaś co kiedy na spowiedzi?

— To kłamstwo! — krzyknął Artur z oburzeniem.

Enrico wzruszył ramionami i zaczął znów iść przodem.

— Ha! Sam wiesz lepiej; ale nie byłbyś pierwszym, który wpadł

w ten sposób. Właśnie dużo gadają w Pizie o jednym księdzu, którego pono twoi przyjaciele wysłędzili. Wydrukowałj czarno na białem w swojej gazecie, jako był szpieg.

Z temi słowy otworzył drzwi pokoju badań, a widząc, że Artur stoi bez ruchu, popchnął go zlekka do środka.

— Dobrze południe, panie Burton, — rzekł pułkownik, pokazując zęby w uprzejmym uśmiechu. — Bardzo mi przyjemnie powinszować panu. Otrzymaliśmy z Florencji rozkaz uwolnienia pana. Zechciej pan podpisać ten papier.

Artur zbliżył się ku niemu.

— Chcę wiedzieć — rzekł tępy głosem — kto mnie zdradził?

Pułkownik podniósł brwi z uśmiechem.

— Nie zgadujesz pan? Pomyśl chwilę!

Dalszy ciąg nastąpi.

Historyk organizującej się Polski.

Wiek XIII był wielkim wiekiem średniowiecza. Europa zachodnia przerwała już jałowe, bez należytego przygotowania prowadzone wojny i do wewnętrznych spraw zwróciła energię swoją. Rozproszone na tysiące drobnych części państwo rzymskie Karola Wielkiego poczęło się całkować, porządkować, na prawie budować. Duchowieństwo, wzmożone nowymi zakonami, do potrzeb wieku dobrze zastosowanymi: dominikańskim i franciszkańskim, wyrosło na potęgę intelektualną i moralną. Panowie feudalni, przez szkołę chrześcijaństwa i rycerstwa przeszedłszy, pozbyli się niedawnych jeszcze obyczajów drapieżnego zwierza i poznali, że polityka jest również siłą. Żywił miejski w osobny stan się układał, przywileje sobie zapewniając, samorzadnie sobą władając. Nowy porządek się ustalał, praca i talent kwitły i owocowały, po strasznych batach głodowych dziesiątego wieku prawie że wspomnienie zostało. Rozkwitły i nauki, i sztuki. Zapoznano się, przez hiszpańskich arabów, z zapomnianym Arystotelesem i św. Tomasz wykończył w dwóch „Sumach“ swoich gmach filozofii greckiej. Rozwinął się do ostatnich granic swych form i formuł narodzony w Paryżu styl nowy: gotyk, tworząc arcydzieła, równie cudom. Jutrzenka nowego malarstwa, epicznego i dramatycznego, zabłysła, z chwilą gdy Cimabue złamał sztywne kształty świętych bizantyjskich. Wreszcie, na koniec tego wielkiego wieku przypada „Boska Komedia“ Dantego, a wraz z nią uprawnienie literackie miejscowych dialektów, świt idei narodowościowej.

Polska dzielnicowa aż dotych-

czas na uboczu stała od tych wielkich prądów cywilizacyjnych; w wojnach krzyżowych udziału nie brała, scholastyka była za wysoką na jej poziom umysłowy, gotyku i nie umiała poznać, ocenić, a więc i nie zatęskniła do niego. Wątła jeszcze i małoludna, nie przeszedłszy okresu feudalnego, w wieku wielkim zbyt pochłonięta była naprzód wysiłkami organizacyjnymi, a następnie zbyt wyczerpana i zanemizowana zmaganiem z napaściami hord tatarskich. Ten wiek jednakże głęboko się w historyj polskiej zaznaczył, pod organizację stanów podłożył gruntowne, bo na prawie oparte, podstawy i w rzeczy samej przygotował Polskę XV wieku. Polskę Jagiellończyka Kazimierza, rozległą, potężną, dobroczynną i trzymającą w ręku wszystkie warunki swojego szczęścia.

Polska XIII wieku w szczególny sposób pociągnęła uwagę warszawskiego historyka, mało ogółowi znanego, miary jednak niepospolitej, Stosława Łagunę. Prawnik z wykształcenia a nawet przez pewien czas profesor administracyjnego prawa na uniwersytecie petersburskim dla studentów w Królestw Polskiego, pociągnięty został przez zagadki, jakich pełno dojrzał w nierozjaśnionych ciemnościach powstającej tak tajemniczo Polski i wprędce historyj się poświęcił. Członek Rządu Narodowego w 1863 r., w roku następnym zostaje uwięzionym w cytadeli, a następnie wywiezionym na Wschód, na długich lat dziesięć. Rzecz zastanawiająca: to w cytadeli powstał nietylko pomysł do kapitalnej pracy Łaguny o XIII wieku, ale i opracowanie tego pomysłu w głó-

wnych liniach, szerokich zresztą i żal budzących, iż w całości wypełnione nie zostały przez tę myśl niepospolitą. Zachował się, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ten kawałeczek papieru, na którym Łaguna skreślił swoje idee historyczne w murach cytadeli, a p. Adolf Suligowski, wydawca prac Łaguny, wydrukował je w przypisku. Nie był to, niestety, pisarz płodny. Długo zbierał materyały, długo je porządkował, starannie je analizował, a kiedy z nich budować trzeba coś było, wahał się, jakby nie ufał sobie, jakby wysiłku się lękał, jakby zgóry zniechęcała go niemożliwość zasadnicza ludzka osiągnięcia ideału. Wszyscy nasi poważni historycy zgodzili się naprzykład na to, że praca Łaguny p. t. „Dwie Elekcyje“ jest arcydziełem; krótkie to studjum, drukowane w „Ateneum“ po powrocie Łaguny z wygnania, przyniosło mu odrazu poważanie i zachwył historyków naszych, a Liske nawet oznajmił, że zrzeknie się redaktorstwa „Kwartalnika Historycznego“, jeżeli Łaguna nie będzie w nim recenzji pisywał. Inną organizację duchową to by podnieciło i pokrzepiło. Tej nie naruszyło. Był jeden człowiek, który głębokie z „Dwóch Elekcyj“ niezadowolone okazywał, który upatrywał w niej więcej wad, niż zalet, więcej braków, niż faktów, którego niedostateczność i ułomność tej pracy urażała, — a był nim sam Łaguna.

To też po pierwszej pracy o XIII w. p. t. „Hanza nad Dźwiną“, pisanej jeszcze za czasów petersburskiego profesorstwa, i po świętych „Dwóch Elekcyjach“, Łaguna, ledwie wysoką miarę dawszy o swych zdolnościach, prawie że z twórczej historycznej pracy, z wysiłku konstrukcyjnych i syntetycznych zrezygnował. Redaktor „Bibliotekj Imienia Andrychewicza“, p. Adolf Suligowski, osobno zestawil dwanaście prac historycznych Łaguny, osobno jego krytyki historycznych ksiązek, ale w pierwszym dziale także większość stanowia krytyki, mające tylko głębszą doniosłość, a znowu między krytykami nie brakuje właściwych notatek, do godności krytykij nie kwalifikujących się.

W każdym razie jego „Dwie Elekcyje“ pozostaną wzorem metody, konstrukcyj i szczęśliwej intuicji historycznej. Po raz pierwszy dano nam w tej pracy wejrzeć głębiej w tajemniczy w. XIII w Polsce, która na samym jego początku, w 1207 roku, przeżyła dużej doniosłości moment: pierwsze wybory biskupa krakowskiego przez kapitułę, złożoną z 6 prałatów i 24 kanoników. Otóż stanowisko biskupa krakowskiego, mającego siedzibę swa w stolicy państwa, faktycznie było większem od roli arcybiskupa gnieźnieńskiego prymasa, co się zwłaszcza za czasów Zbigniewa Oleśnickiego jaskrawo uwydatniło.

Rok 1863 w poezji polskiej.

Były to właśnie czasy reformy, jaką w obyczajach duchowieństwa przeprowadził arcybiskup gnieźnieński, energiczny i nieugięty Henryk Kietlicz. W wieku XII małżeństwa księży były u nas częste, zwłaszcza w „Polsce”, które to imię przysługiwało specjalnie starej krainie nad Wartą. Nikogo to nie raziło, a sami benedyktyni, choć ślubem czystości związani, wpisują do ksiąg bractwa bez śladu zgorszenia „Filomena kapłana z żoną Bogodara i córkami”. Czcigodny zaś kanonik, kantor krakowski, zmarły w 1269 r. „mąż sędziwy i ze wszech miar łagodny, więcej niż stuletni, który się cieszył widokiem zrodzonego z siebie potomstwa płci obojej”... Biskup lubelski, Wawrzyniec, był ojcem mistrza Przemysława, „za dni naszych najślawniejszego męża”... Arcybiskup gnieźnieński jeszcze większej doczekał się pociechy, a jego potomstwo w urzędowych aktach chwali się, że są „synami prymasa”. Konkubinat był na porządku dziennym. Papieże grzmieli, oczywiście. Głosili, że jest „plamą urodzenia” być synem kleryka. I to skutkowało. — ale powoli. Laguna skoncentrowanej a charakterystycznymi rysami namalował to wieku XIII w Polsce i przez wielką sztukę swoją wytworzył jakby atmosferę dla niego taką, iż czytelnik czuje się w niej swobodnie, rzeźwo i swojsko.

Nietylko duchowieństwo potrzebowało wtedy reformy. I młodzież trzeba było w karby ująć. Hulanka, pijatyka, gra w kości, turbowanie żydów (pomimo surowych zakazów księcia Mieszka) było na porządku dziennym. Co jeszcze, to „profanowanie świątyni pańskich w sposób niepojęty dla naszych wyobrażeń o przyzwoitości”, a nietylko cywilna młodzież, ale nawet dyakoni i kapłani odprawiali w nich błazeńskie widowiska, przystrajając się w maski i „wyprawiając sprośne gestykulacje”. Pijatyka wieńczyła każdą uroczystość chrześcijańską, zwłaszcza Boże Narodzenie. Wtedy to powstał wierszyk:

Est bona vox — nalej
Melior — pij
Optima — wypij.

Ale słuszność nakazuje wyznać, że niewiele lepsze były wtedy obyczaje Europy „od Gibraltaru do Uralu”, jak mówią Laguna, a w wielu miastach o wiele więcej od Krakowa ucywilizowanych śpiewano:

Bibit herus, bibit hera,
Bibit miles, bibit clerus,
Bibit ille, bibit illa,
Bibit servus cum ancilla.

Mistrzowskich obrazów obyczajowych w dziele Laguny jest pełno.

Ad. Wierzynek.



Zeszyt osiemnasty „Skarba polskiego” zawiera „rok 1863 w poezji polskiej”. Jest to wazanka spora utworów poetyckich, malujących nastroje, nadzieje, troski i lzy tegoczesne. Zbiorek dzieli się na trzy poszczególnie rodzaje utworów: wiersze poprzedzające powstanie ujęte zostały pod wspólnym tytułem „Przygotowanie”. „Rok 1863” dano tytuł „pieśniom walki” i „zawiedzione nadzieje” nadpisano nad łzami rozpaczy i niedoli wierszy popowstaniowych, Antologia utworów tych napewno zyska sobie szerokie warstwy czytelników. Wydanie poprawne.

Odbudowa wsi polskiej.

Komitet obywatelski odbudowy wsi i miast w Krakowie wydał pod redakcją znanego architekta, Władysława Ekielskiego „Projekt chat i zagród włościańskich”. Całość składa się z pięciu zeszytów dużego formatu. Mamy w tych zeszytach jasno i plastycznie pokazane, jak należy budować chatę dla włościanina bezrolnego, by jednak mógł utrzymywać krowę i świnie. Chaty dla włościan małorolnych i takich, którzy prowadzą gospodarstwo na szeroka skalę. Wydawnictwo to jednak pożyteczne jest dla każdej gminy, nawet dla tych wsi, które szczęśliwym zbiegiem okoliczności ocalały. Kartony bowiem budownicze są bardzo pouczające i mogą niesłychanie ułatwić włościanom pracę w budownictwie.

Sambra i Moza.

Wizya zapasów tytanicznych na froncie zachodnim. Potworna ekspresyjność jej niezależna jest zupełnie od zwykłych tonów twórczości Edwarda Ligockiego. Młody ten autor dał się już poznać kilkoma pracami różnej wartości. Szersze koło czytelników miało możliwość zainteresować się rodzajem jego talentu dzięki odcinkowi powieściowemu w „Bluszczu”, gdzie drukowano jego konkursową „Laguna morta”. „Sambra i Moza” wykracza poza ramy jakiegokolwiek kompozycji. Jest kalejdoskopem wydarzeń sierpniowych i późniejszych z przed dwóch lat, gdy wojska niemieckie zwycięsko kroczyły przez Belgię i Francję. Udział polaków w tych zapasach olbrzymich został przez E. Ligockiego skryzalizowany w całym arcyuczuciowym stosunku jego do tej wojny. Sercem całym lgną do trójkolorowego sztandaru, a francuski oficer, mieszczuch czy przemysłowiec, wie tylko o „beau geste du Tsar”. Książka Ligockiego jest echem tych bólów i rozmyślań, jakie przeżył zapewne każdy polak znajdujący się podczas wybuchu wojny we Francji. Dużo w niej spostrzeżeń trafnych tak pod adresem polskim, jak i francuskim.

Ligocki, chcąc kalejdoskop wydarzeń wojennych ująć w jakiś skordynowany szereg, osnuł go koło przygód braci Kamienieckich i dobrowolnej służby honoru wobec Francji Kontrymowicza, ich kuzyna. Interesuje ta książka jednak nie dlatego, że spotykamy te czy inne typy ludzkie. Przykuwa uwagę wyrazem wydarzeń, które opisuje. Wydarzenia to bowiem isticie dantejskie. Brutalny ich rea-

lizm wali obuchem. Wojna i pożoga, śmierć i gwałt toczą nieublaganie rydwan zagłady i zniszczenia. Przerazone oczy szaleją z wyteżenia, a w sercu polkiem budzi się westchnienie:

Wolności miła! Tęcz korono —
radziśmy spojrzeć śmierci w twarz:
za błękitami nam sądzono
nieśmiertelności pełnić straż...

Stanie znów nieproszony przez nikogo do zapasów żołnierz polski i odda krew ze cudzą sprawą. Któż bowiem chce słuchać o naszej sprawie? Wszystko teraz odkłada się na czasy powojenne. Męstwo polskie ginie na marne i dlatego tak straszne są te wizye wojenne Ligockiego. Bałamuctwo werbuje, przysięga trzyma w ryzię, a honor każe trwać. „Sambra i Moza” Ligockiego, jako obraz tego, co przeżywał polak w Belgii i Francji podczas pierwszych miesięcy wojny — jest bardzo interesującym przyczynkiem do zrozumienia tych nastrojów, które rządziły wtedy psychiką ludzi pozostających na obczyźnie.

Kompozycje S. Malinowskiego.

Nakładem Gebethnera i Wolffa ukazało się w druku sześć kompozycji młodego kompozytora polskiego, Stefana Malinowskiego, pod tytułem: „3 Impressions pour piano” (Prélude, Souvenir d'un flirt i Barcarolle) op. 3 oraz „3 Morceaux” pour piano (Nocturne, Mazurka i Impromptu) op. 4.

Utwory te powinny bardzo zainteresować nasz świat melomanów ze względu na wytworność i pomysłowość opracowania harmonicznego, a także dzięki pewnej charakterystyce nastroju, który one wywołują.

Z faktury znać fachowo skończonego muzyka, ale szukającego jeszcze drogi właściwej dla swego natchnienia.

Z pośród wymienionych utworów bardziej oryginalnymi nazwać można: Impromptu, Souvenir d'un flirt, głównie zaś — Prélude.

Bemol.

Humor i Satyra.



Niezdecydowana Rumunia.

(Le Rire).

